



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół, kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Nie ma najmniejszej już wątpliwości, że się jeśń roztasowała u nas na dobre; liście z drzew spadają całemi garściami, choć ich wiatr nie rusza miły deszczyk kropi leniwo, cichutko, powoli, ale z wytrwałością niebieskiego nudziarza, który o całe niebo ma też wyższość nad nudziarzami ziemskimi, a z deszczem spadają lawiną... kalendarze na rok przyszły.

Jedynie to wydawnictwa *a conto*, które swój żywot rozpoczynają przed właściwym terminem, a kończą go z ostatnim dniem każdego roku.

Zdawało się, że po ostatnim krachu wydawcy kalendarzowi stracą ochotę do nowego ryzyka: gdzie tam! — postanowili się odbić w „Ośmdziesiątym siódmym” i znowu „imię ich legion”...

Trzeba przyznać, że postęp wkroczył i w dziedzinę literatury kalendarzowej, która dotąd drwiła sobie z krytyki, najpierw rozsPECIALIZOWANO kalendarze, potem nadano im więcej praktyczności, wreszcie odjęto im pretensjonalne pokuszenia literackie, a w końcu zastosowano cenę do wydawnictwa popularnego i zrobiono je tak tanimi, że użyteczność niektórych nie kosztuje grosza w ciągu miesiąca.

Nie powiem, abym się godził ze zdaniem tych, którzy z kalendarzy usunąć chcą zupełnie belletrystykę i tak zwany dział literacki; ma on swoje nie najświetniejszą tradycją, ale jeśli nie jest koniecznie potrzebny, to i nie przeszkadza, ma zaś tę dobrą zasługę, że często popularyzuje literaturę i jej przedstawicieli w tych sferach, w których innej drukowanej książki prócz ka-

lendarza nie bierze się jeszcze do ręki. Zresztą nawet dla inteligentnego czytelnika ten „kwiatek przy kozuchu” bywa wabikiem, zapewniającym wydawnictwu szerszy zbyt i większą popularność.

Francuzi, Niemcy i Anglicy z prawdziwym zbytkiem wydają swoje kalendarze i nie usuwają z nich ani literatury, ani sztuki; przeciwnie, starają się o najcełniejszy jej udział w najpopularniejszym wydawnictwie.

Inna rzecz z praktycznością; pod tym względem dałoby się jeszcze wiele reform zaprowadzić na korzyść i wydawców i pewnych specjalnych klas czytelników.

Proponowałem kiedyś komuś, aby zamiast zwyczajnego szablonu, spróbował wydawnictwa kalendarzowe oryginalniej zredagować i np. uczynił je pożyteczniejszem i ciekawszem dla warstw mniej oświeconych.

— Wydawaj pan osobny kalendarz dla szewców, krawców, stolarzy — mówiłem mu — w którym każdy cech znalazłby to, co go najbardziej obchodzić może i w informacyjnym i w literackim i w praktycznym dziale. Podobnie, jak mamy gospodarskie p. Ówierzakiewiczowej, ludowe Promyka kalendarze, miejmy dla kupców, rzemieślników, przemysłowców i t. p., noworoczniki specjalnie redagowane; zbyt będzie równie, a nawet więcej, zapewniony, gdy kalendarz taki wyjątkowo zainteresuje pewne, wyłączone klasy czytelników.

— Zapewne — odpowiedział mi wydawca — możeby to i dobre było, ale tymczasem korzystniej zostać przy dawnej tradycji uniwersalności kalendarza. Zresztą, to kłopot z przygotowaniem takiego wydawnictwa, które musiałoby być zarazem jakimś podręcznikiem fachowym; kto to u nas zrobić dobrze potrafi?.. Niech się tem zajmują pisma specjalne.

Nie jestem ani szewcem, ani krawcem, ani sto-

larzem, więc mogę czekać cierpliwie na taką reformę wydawniczą; jako literat zaś będę miał z łaski „Przeglądu tygodniowego” podobno swój własny noworocznik ze słownikiem wszystkich ważniejszych autorów polskich, a dzięki firmie Leonard i Sp, fotografowane wizerunki całej prasy warszawskiej z biograficznymi wzmiankami w osobnym Albumie, do którego wspomniany zakład zbiera już materiały.

Ruch wydawniczy zaczął się wogóle ożywiać, nie tylko w dziedzinie kalendarzy, albumów i noworoczników. Mam przed sobą sporą paczkę nowości księgarskich, świadczących korzystnie o przełamaniu zastoju, na który o tym czasie w roku zeszłym skarżyliśmy się wszyscy w rozrzucających jeremiadach. Kraszewski miał słuszność, kiedy nie kazał tracić otuchy i przepowiadał zmiany pomyślniejsze.

Niechaj chociaż tytuły wymienię przez wdzięczność dla nakładców, a obowiązek względem autorów i czytelników, nie wdając się w krytykę, któraby mi za wiele miejsca zajęła.

Oto najsam pierw sześć sporych tomów, sześć!.. w takich rozmiarach dawno już dzisiejsze pokolenie nie czytało powieści. Po samej cyfrze poznać, że wzięłem do ręki „Potop” Sienkiewicza, który obecnie gdzieś nad Bosforem zbiera materiały do ostatniej części swojej trylogii, zapowiedzianej pod tyt. „Pan Wołodyjowski.”

Ma tego być tylko jeden tom, ale to skromne postanowienie powziął pan Henryk przed wyjazdem do Konstantynopola; w drodze pod wpływem nowych wrażeń jego „Pan Wołodyjowski” zapewne urośnie, czego mu rozciekawione czytelniczki za złe nie wezmą.

Oto znow dwa tomy nowej powieści Zygmunta Kaczkowskiego p. t. „Abraham Kitaj.” Autor „Murdeliona” zbudzony „Ogniem i mieczem” porwał się do pióra, jak do korda, poszlachecku, aby przypomnieć, jak to się historyczne powieści

ongi pisało. Po szumnej krytyce, której poddał Sienkiewicza, to nowe jego dzieło tem bardziej będzie interesującym dla czytelników i dawnych wielbicieli Kaczkowskiego, którzy zechcą się przekonać o ile *la critique* jest łatwiejszą od *l'art* według francuzkiego twierdzenia.

A oto z „Polski w pieśni” Deotymy nowa strofa p. t. „Wanda.” Długie lata nie wpływała ona z fal poezji i z teki autorki; dzisiaj po latach dwudziestu poetka zdejmując z niej dziewiczą zasłonę, jak powiada w przeslicznej dedykacji swej na początku dzieła, bo jej w sercu głos jakiś tajemny powtarza: „że pieśni są dla rzeszy, a nie dla pieśniarza.”

Powstał projekt wprowadzenia „Wandy” na scenę naszą, na której raz już tylko w obrazach żywych, układu nieboszczyka Lessera, przemknęła jak widzenie.

Dla pomyslowego reżyssera, dla dyrekcyi dbającej o interes sztuki oryginalnej i interes kassy, dla publiczności pragnącej odetchnąć czystszytym tchnieniem poezji w teatrze wdzięczny to materyał.

Z działu nowości dramatycznych zapowiada redakcja *Gazety Polskiej* książkowe wydanie „Alberta Wójta” p. Kozłowskiego, któremu zbyt może surowa krytyka każdy listek konkursowych laurów cierniem do skroni przybiła, aby pamiętał, że u nas nie wolno zbyt szybko urastać na znakomitości — bezkarnie.

Z plonu konkursowego mamy na półkach księgarskich świeże dwa kwiatki: „Minowski” p. Mańkowskiego, drugą uwieńczony nagrodą i „Larik” p. Gadomskiego, wyróżniony zaszczytną wzmianką. Jako utwory dwóch nowych a niepospolitych talentów znajdują nie mało czytelników, zwłaszcza, że nie rychło publiczność będzie mogła poznać je ze sceny. Dla dramatów historycznych u nas bardzo wąziutka ścieżka na scenę, chwastami zarosła, a komedia z udziałem Żółkowskiego w głównej roli musi czekać, aż znakomity Nestor polskiej sceny wyuczy się pamięciowo i opracuje nową swą kreację.

Z poważniejszych wydawnictw rozpiera się na mojem biurku „Sejm czteroletni” Kalinki, po którym czytelniczka nie pozna, że to bardzo głębokie i uczone dzieło, kosztujące długie lata studyów i pracy, bo daje się czytać, jak powieść zajmująca, ale smutna.

Chmielowski obdarzył nas nowym wydaniem „Kobiet Mickiewicza; Słowackiego i Krasińskiego”, uzupełnił je, powiększył, poprawił z tą krytyczną ścisłością, która go zawsze cechuje. Powiadają, że pan Piotr choruje i zajęty jest obecnie naprawą wątłego zdrowia, a tymczasem z tego, co mam pod ręką, musiałbym wnioskować, że mu podwójnie sił przybyło, tyle owoców pracy jego widzę przed sobą. Po „Mickiewiczu” i „Kobietach” świeżuteńkie dwa spore tomy jego „Studyów i szkiców z dziejów literatury polskiej” wyszły z pod prassy, a za nimi zjawiać się mają „Nasi powiesciopisarze”; jest z czego chorować przy takiej pracy.

Literatura historyczna pozyskała nowy tom Falkowskiego Juliusza „Obrazów z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce”, obejmujący epokę Księstwa Warszawskiego, a belletrystyka roi się nowellami w zbiorowych wydaniach. Nie można się tedy skarżyć na brak nowości do czytania podczas długich wieczorów jesiennych i zimowych, byle tylko prawdziwej chęci do tego nie zabrakło.

Jeszcze o jednej książce z sensacyjnym tytułem winienem wspomnieć, bo mnie najbardziej kusi, choćby do rozcięcia kartek przed przeczytaniem; jest nią „Koniec świata”, przez p. Erasma Majewskiego, który z dziwów przyrody po daje zajmujące i popularne studia naukowe, jak „Potop” lub nowy przegląd wypadków, mogących sprowadzić zagładę ziemi. Książka ta spóźniła się trochę i mogła być większą zrobić sensacją, gdyby nią autor poprzedził był ów fatalny termin na św. Marka, który miał sprowadzić koniec świata, ale kto dzisiaj terminu dotrzymuje w tych ciężkich czasach ogólnego zastój... więc i koniec świata skrewił, jak wiadomo, skutkiem

jakiejś prolongacji nieprzewidzianej przez Nostradamusa.

Dla tej części Warszawiaków i Warszawianek, którzy sami nie lubią czytać, ale są ciekawi usłyszeć coś nowego, szykuje się jak co roku szereg najrozmaitszych odczytów; już w Listopadzie za staraniem redakcyi *Wszelchświata* grono naszych przyrodników mówić będzie z katedry w sali ratuszowej na korzyść kassy imienia Mianowskiego, o rzeczach niezmiernie ciekawych. Osądzicie sami chociażby z tematów; program odczytów jest następujący: p. Stolcman, „Obraz życia zwierzęcego w lasach dziewiczych Ameryki Południowej”; prof. Dziewulski, „Źródła elektryczności”; dr. Bujwid, „O bakterjach, jako fermentach i czynnikach chorobotwórczych”; p. Jan Kozłowski, „Historja przemysłu górnego w Polsce”; prof. Milicer, „Galwanoplastyka”; p. Siemiradzki, „Wulkany i ich rola wogólnym gospodarstwie przyrody”; dr. Henryk Dobrzycki, „Elektryczność zwierzęca i zastosowanie elektryczności w medycynie”; prof. Boguski, „Związek pomiędzy pracą chemiczną i elektryczną”; prof. Ciemieniewski, „O powstawaniu i przebiegu burz”; dr. Kramsztyk, „Elektryczność i jej zastosowania”; prof. Dziewulski, „Indukcja i maszyny dynamo-elektryczne”; dr. Jędrzejewicz, „Elektryczność powietrzna”; prof. Dziewulski, „Światło elektryczne.”

W Muzeum przemysłu i rolnictwa przyjdą również do skutku w ciągu przyszłego miesiąca od dawna zapowiadane odczyty naukowe dla rzemieślników, a zapewne i komitet Towarzystwa Osad Rolnych krząta się około zwerbowania dla siebie prelegentów.

Spostrzegłem się, iż o najważniejszych dla kronikarza wypadkach zeszłego tygodnia nie wspominałem dotychczas, mianowicie: o wystawie nasion w nowym gmachu Muzeum rolnictwa i przemysłu i o konkursowej wystawie sztuki ornamentacyjnej i dekoracyjnej w Resursie Obywatelskiej.

Co do pierwszej za mało się znam na tem, abym mógł sądzić kompetentnie, oile praktycznego rezultatu dała ona dla rolników, których najbardziej musi interesować; *pour nous autres* nasiona przedstawiają się w postaci mniejszych lub większych ziarenek okrągłych lub owalnych zabarwionych białą lub żółto i zsypanych do worka, słoju, albo szuflady. Przyznam się otwarcie, że dla mnie profana wystawa nasion miała o tyle interesu, oile mieściła się w nowym gmachu muzealnym, który przy tej sposobności zwiedzić mogłem i przekonać się, że Warszawa coraz więcej nabiera fizioonomii europejskiej stolicy, skoro zdobywa się dzięki prywatnej inicjatywie i ofiarności na takie instytucje we własnych pałacach, jak Muzeum rolnictwa i przemysłu.

Niebawem zapewne pisma illustrowane podadzą wam widok wewnętrzny i zewnętrzny gmachu, w którym znajduje się jedna z największych sal odczytowych, pracownia chemiczna świetnie urządzona, stacya meteorologiczna i t. p.

Wystawa sztuki ornamentacyjnej i dekoracyjnej, jako zachęcający początek, zasługuje na uznanie i wymyka się zpod krytyki poważnej, ilościowo wypadła uboga, jakościowo zaś świadczyła tylko o istnieniu talentów i zdolności, które w nowym kierunku rozwijają się pomysłnie, ale którym potrzeba poparcia, zachęty, wskazówek praktycznych.

W wystawie tej główny udział przyjęły kobiety, a najważniejszy dział zapełniło malarstwo na porcelanie. Są tu zadatki wiele obiecujące na przyszłość, noszące dzisiaj jeszcze po większej części cechę dylletantyzmu i amatorstwa, ale z czasem dadzą się wyzyskać korzystniej na rzecz przemysłu uszlachetnionego sztuką i na rzecz sztuki popartej przemysłem.

Tymsamym pędzlem, który dzisiaj rzuca kwiatki i równianki na talerze, półmiski, stoliki i parawany dla wprawy lub zabawy, będzie można zgartywać grosze na utrzymanie siebie i rodziny, skoro „sztuka stosowana” rozwinię się u nas więcej i konkurrować zacznie z zagranicą.

Słyszałem o zamiarach założenia w Warsza-

wie szkoły języków klasycznych dla kobiet, w której uczoneby je greki i łaciny; widać, że inicjatorce tego projektu nigdy nie patrzyły na braci lub synów swoich, bębniących całymi wieczorami wokabulary i poczęcych się nad preparacyami, kiedy z takim lekkim sercem chcą przystępować do studyów martwego języka starożytności. Kilka lekcji ostudzi ten zapal, niemając poważniejszej i praktycznej podstawy.

Mojem zdaniem, lepiej-by było wolny czas poświęcić kształceniu zdolności i smaku w dziedzinie artystycznego przemysłu, do którego kobiety i zamiłowania i kwalifikacyi nie mało posiadają.

Prawda, że dzisiejszy ogólny zastój nie bardzo zachęca do tego, ale trzeba mieć nadzieję, iż zmiany na lepsze nastać muszą, że się znowu ożywi ruch na wszystkich polach i *a contra* tej lepszej przyszłości trzeba pracować dziś nad sobą, by potem zająć korzystniejsze stanowiska, gdy dana chwila powoła nowe siły do nowej pracy.

Na zakończenie wspomnieć winienem o projekcie urządzania stałych zabaw zbiorowych dla dzieci w ciągu zimy co Niedziela i święto; powodzenie tych reunionów dziecięcych w Ogrodzie Zoologicznym zachęciło p. Konrada Wodzińskiego do sprawiania i nadal uciechy malcom w tattersalu, w którym wojłokowy dywan zastąpi murawę a program rozrywek na wolnym powietrzu, — zastosowane do miejsca i okoliczności zabawy.

Odezwały się głosy przeciw, pedagogia poważnie palec położyła na nosie i wezwała do głębszego namysłu matki i ojców: czy przypadkiem takie zgromadzenia z charakterem rautów nie wpłyną niekorzystnie na usposobienie, charakter i skłonności młodego pokolenia?

Co do mnie, radbym, aby moi ukochani Milusińscy mieli rozrywkę, mogli się wyskakać, wytańczyć; rozruszać i swobodnie kilka godzin w tygodniu przepędzić w gronie rówieśników; ale nie chcę, aby się one stały balikami małych mężczyzn i małych kobietek, aby pomagając zdrowiu ciała, szkodziły zdrowiu duszy.

Od urzędzenia i kierownictwa wszystko zależy, a chyba p. Wodziński zapyta o to doświadczonych pedagogów.

Quis.

GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

— Co ci jest?... co ci się stało?

Filip przyciągał ją wtedy do siebie, jak dziecko, wpatrywał się w jej śliczną twarzyczkę i gładząc bujne zwoje jej płowych włosów, próbował się uśmiechnąć.

— Nic, nic — zapewniał obojętnym głosem.

Podawała mu swoje świeże usta, jak granat rozpęknięty i przymykając powieki z rozkosznie pieszczotliwym wyrazem, szeptała:

— To mnie pocałuj.

I w długim, gorącym pocałunku małżonków topniała chmura, która przed chwilą rzucała cień w głębię duszy Filipa.

Jeżeli w córce nie dostawało pewnych subtelniejszych odcieni myślni piękna, — to matce brakło ich zupełnie; pani Okulska należała do tych istot pozbawionych wrażliwości na wszystko, co duszę ludzką rozkosznym dreszczem zachwyty przejmie. W salonie jej na stole leżały pięknie oprawne i suto złożone wydania poetów, ale czterech wierszy w życiu swoim nie umiała przeczytać bez ziewania.

Od czasu do czasu przerzuciła kilka kartek pa-

ryzkiego romansu i to tylko w tem miejscu, w którym według cudzego opowiadania, znajdowało się coś „pikantnego.“

Muzyki słuchać mogła całemi godzinami, byle miała z kim pocichu rozmawiać, albo robić obserwacje, udzielane później córkom po powrocie do domu. Było jej wszystko jedno, kto gra i co gra, ale uważała sobie za obowiązek chodzić na wszystkie większe koncerty, na których zwłaszcza spodziewała się spotkać dużo ludzi, tak samo, jak za nic w świecie nie byłaby opuściła premiery w teatrze. Nie chodziło jej wcale o sztukę, lecz o tę jakąś solidarność ze znanymi *habitués*; na drugie lub trzecie przedstawienie wybierała się już tylko w wyjątkowych warunkach, a i to tylko wtedy, jeżeli mogła z córkami pokazać się w łoży. Jej poglądy i punkt zapatrywania zależały od miejsca, na którym siedziała w teatrze lub na koncercie, a wrażenia opierały się nie na tem: co?—ale kogo?—widziała.

Różniła się jednak tem od najstarszej swej córki, że udawała gorącą entuzjastkę i wielbicielek sztuki, czasami nawet chorowała na znawstwo, lubiła w wykrzyknikach i superlatywach ogólnikowych wyrażać swój zachwyt, choć go ani trochę nie czuła.

— Cudownie, przecudownie!—wołała na określenie czyjejs gry i artyzmu, ale w tejsamej chwili z największym zajęciem zerkła na nowy kapeluszek sąsiadki i miała wielką ochotę zapytać: u której modystki możnaby podobny obstałować?

Stosunek z zięciem od samego początku był chłodny; w gruncie rzeczy nie lubiła go, bo dla niej brzydki mężczyzna nie zasługiwał na żadną sympatią. Zarzucała Filipowi, że mu brak salonowych manier i ogłady towarzyskiej, że u niej na *jour-fixach* siadywał w kącie, jak mruk z miną głodnego smoka, który ma ochotę pożreć wszystkich jej gości. Nie rozumiała tego, że ci goście właśnie, zbierani z najbardziej pustych i banalnych półgłówek tak zwanego „towarzystwa“, z lalek postrojonych i manekinów, nie tworzyli dla artysty ani odpowiedniej ani sympatycznej atmosfery.

Filip czuł się obcym w tem otoczeniu, nudził go śmiertelnie płytki świat konwenansu, wyglądał też jak puszczyk pomiędzy papugami.

Naodwrot w tem towarzystwie patrzano na niego z pewnego rodzaju zimnem uszanowaniem, witano i żegnano z etykietalną rewerencją, ale nie próbowano nawet wciągnąć go do rozmowy i zabawy. On zaś z jakiegoś kąta spoglądał na nich obojętnie, albo z niesmakiem i słuchając pustej ich gadaniny, poziewał ukradkiem lub mówił do nich w myślach swoich:

— Boże, jacyście wy wszyscy głupi!...

Nieraz przychodziła mu ochota powiedzieć to głośno, wziąć za kapeluszek i wyjść z salonu świekry, by nigdy więcej tu nie powrócić, ale wzrok jego padał na Helenę, która w tłumie siostr matki i jej gości wydawała się ożywioną, zajętą, rozbawioną i najszcześliwszą w tym żywiole.

W domu nigdy jej taką nie widywał.

Tutaj wracała jej cała panińska swoboda, humor, rozmowność, zapominała niemal, że jest mężatką i że ten w kąt wciśnięty, lub w framu dze okna ukryty oryginał, milczący wiecznie i zachmurzony jest jej mężem, który pod koniec wieczora przyjdzie podać jej ramię i odprowadzi ją do swego domu cichego i nudnego, jak klasztor.

Mama Okulska nie znała się na talencie zięcia, wystarczało jej to, że mąż jej córki był artystą głośnym, uznanym, że pisywano o nim w dziennikach i że „coś tam” zawsze ludzie chwali, ale tego „coś tam” sama najczęściej nie oglądała. Od samego ślubu wybierała się do jego pracowni i wybrać nigdy nie mogła, bo jej zawsze jakaś przeszkoda stanęła w drodze.

— Podobno coś nowego dałeś pan na wystawę? — mówiła do zięcia — musimy pójść z dziewczętami zobaczyć.

Filip uśmiechał się ironicznie i kiwał ręką lekceważąco, jakby to znaczyć miało: „dajcie pokój”, a teściowa tłómaczyła sobie ten gest w znaczeniu: „nie warto” i często w poufnych rozmowach z córką pytała ją z odcieniem zniecierpliwienia:

— Kiedyż ten mąż twój zrobi nareszcie jakieś arcydzieło, któreby mu coś więcej, oprócz gazetarskich pochwał przyniosło?...

Arcydzieła miały dla niej o tyle wartość, o ile dały się ocenić na gotówkę, a dotychczas dochody Filipa były bardzo nieznaczne. Pomimo uznania i pochlebnej krytyki żadna z jego większych prac nie znalazła nabywcy. Zrobił mu ktoś propozycją, żeby ze swego „Satyra“ wykonał kilka mniejszych kopii w gipsowym odlewie, ale o cenę oryginału nikt nawet na wystawie nie spytał.

Procent z posagu żony, wypłacany dosyć nieregularnie przez teściową, która zawsze była w kłopotach finansowych i nigdy interesów swoich uregulować nie mogła, a nikomu rozjeżdżać się w nich nie pozwoliła, zwłaszcza zięciowi, i małe dochody za przygodne roboty rzeźbiarskie stanowiły dotychczas jedyne utrzymanie Filipa.

W artystycznej jego naturze brakło praktyczności; nie przywykł liczyć się z pieniędzmi a niewiele ich dawniej dla siebie potrzebował. Od czasu ożenienia się, a zwłaszcza od urodzenia Stefanka, zmienił się budżet jego bardzo poważnie, wydatki rosły z dniem każdym. Żona raz po raz przychodziła do niego po pieniądze.

— Filipku, potrzeba mi tyle a tyle... dzisiaj, koniecznie.

Nie miał odwagi przyznać jej się, że nie ma, nie śmiał zapytać na co, nie umiał odmówić.

Ręka w pustej kieszeni znajdowała pierwsze ciernie kłopotów finansowych.

Na czole Filipa pojawiały się coraz głębsze bruzdy, coraz częściej zapadał teraz w zadumę, z której budził się jakiś zgnębiony, rozdrażniony, pochmurny tembardziej, że nie widział nikogo koło siebie, coby go w tym stanie ducha podniósł. pokrępił, otuchy dodał, radą lub pomocą wsparł.

Tłumił wtedy idealne porywy artysty i jak prosty rzemieślnik wychodził szukać roboty dla zarobku.

Zaczęły mu się przypominać pesymistyczne wróżby Szaleja, który mu przepowiadał rywalizacją „z kamieniarzami.”

— Trudno — mówił sobie — trzeba także pracować dla chleba, nie dla samej sławy. Sławę nie nakarmię żony i Stefanka. Nie trzeba się zrażać, nasz chleb z kamienia rośnie, ciężko musimy go wykuwać z początku.

Długo wyczekiwana robota znalazła się nareszcie. Jakis bankier stawił dla siebie willę pod miastem i zażądał od Filipa rzeźbionych kroksztynów do kamiennego kominka, robiąc przy umowie o cenę nadzieję, że jeżeli pan rzeźbiarz targować się bardzo nie zechce, to może później znajdzie się jeszcze coś innego do zrobienia. Wspomniał o biuście żony, który radby mieć w swoim gabinecie i tem zdecydował Filipa, że warunki przyjął zmniejszone o połowę przedstawionego kosztorysu.

Z nowym obstałunkiem przybyło znowu i humoru artysty; wziął się do modelowania amorków podtrzymujących marmurową płytę nad kominkiem bankierskiego salonu i całe dnie teraz przepędzał w pracowni, pragnąc jaknajspieszniej wykończyć robotę.

Pewnego dnia usłyszał drobne tupotanie kobiecych nówek w kurrytarzu i zpoza drzwi zamkniętych usłyszał głos Heleny:

— Filipie, Filipie otwórz-no, bo sobie nie mogę dać rady z tą klamką.

Weszła rozpromieniona, uśmiechnięta, w futerku śniegiem przypruszonem, zarumieniona od mrozu i wewnętrznej jakiejś agitacji.

— Wiesz ty, z czem ja przychodzę? — zaczęła od progu, tupiąc zziębniętymi nóżkami o kamienną posadzkę pracowni dla rozgrzania i chuchając w drobne pałuszki, które zimno przejęło do kości, pomimo irchowych rękawiczek i bobrowej mufki.

— Aby tylko z czem dobrem.

— Zgadnij.

— Nie łatwo się domyślam, cóż takiego?

— Zaraz, tylko trochę odmarznę; u ciebie także nie bardzo ciepło.

Wziął jej zgrabiące rączki i rozcierać zaczął delikatnie, przykładając do ust i ogrzewając pocałunkami.

— Wiesz, mieliśmy wizytę — szczebiotała z wyrazem zadowolenia, oczki się jej świeciły, buzia uśmiechała, jak u dziecka uradowanego nową zabawką — ślicznych dwóch chłopaków przyszło ci żonę bałamucić!... zastali mnie w szlafrocжку przy Stefanku, ale to nic, mama ich tymczasem przy Klarcią zabawiła, a ja się przebrałam na poczekaniu. Dobrze się stało, że i mama była, bośmy zaraz złożyły potem radę familijną. Wyobraź sobie, jaki zaszczyt twoją żonusię spotyka, zostałam... zostałam... no? nie domyślasz się?... zostałam zaproszoną na gospodynię kostyumowego balu w ratuszlu!... Cóż ty na to?

Spojrzała na niego z dumą, spodziewając się wielkiego wrażenia z tej wiadomości, główkę z wdziękiem gołąbka przykrzywiła potem na ramię i paplała dalej wesoło:

— Ma to być coś cudownego; najpiękniejsze panie z towarzystwa wybierają się na ten bal, ale mama powiada, że bezemnie nie byłoby królowej. Musiałam przyrzec bez twego zezwolenia. Nie chcieli wyjść, póki im nie dałam słowa, że będziemy. Resia i Klarcia skaczą tam w domu z radości. Mama pojechała już do Topolnickiej naradzić się nad kostyumami; sama pójdzie w stroju Pompadour, Resia wybrała sobie Wiosnę, a Klarcia Kwiaciarke. Co do mnie nic jeszcze stanowczego; musisz mi ty doradzić coś pięknego. Od czegoż mam męża artystę!...

Filip w miarę opowiadania żony rozstrajał twarz z uśmiechu, jakim ją okraślił widok wchodzącej do pracowni Heleny; słuchał z powagą, nielicującą wcale z jej humorem i przedmiotem zwierzeń. Spodziewał się innego rodzaju wiadomości po tym wstępie, nie przypuszczał nawet, że godność gospodyni balu i tytuł przyszłej jego królowej do tego stopnia rozbudzą jej umysł, rozpromienią takim weselem, jakiego dotąd nie widział na jej twarzy.

Milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć; w tej chwili różnili się z żoną nie tylko w poglądach i usposobieniu. Czuł, że jakiś chłód powiał na niego od tej pięknej kobiety, której ręce trzymał ciągle jeszcze przy swoich ustach.

Po chwili wszelako głosem łagodnym, ale stanowczym odezwał się do niej:

— My na ten bal nie pójdziemy, Heluniu.

Odskoczyła od niego, jakby ją odepchnął siłą. Twarz jej zmieniła się do niepoznania; prawie z przerażeniem spojrzała na męża i wykrzyknęła:

— Dlaczego?

Filip poszedł za nią i spróbował ująć ją znowu za ręce.

— Z bardzo prostej przyczyny—rzekł—że ta zabawka za drogoby nas kosztowała; to dobre dla magnatów, albo utracuszów.

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

— Przesadzasz, mój kochany; przecież się nie zruinujemy takim jednorazowym wydatkiem. A potem dawno już chciałam ci powiedzieć, że mnie takie życie, jakie prowadziliśmy dotąd, nudzi i męczy. Świata mi nie pokazałeś od samego ślubu, dom i dziecko: oto cała moja rozrywka. Siedzę wciąż zamknięta, jak w klasztorze,—ja nie byłam przyzwyczajoną do takiego pastelniczego życia. Gdyby nie soboty u mamy mówić-bym z ludźmi zapomniiała. Tobie wystarczają twoje gliniane bałwany, ale mnie potrzeba czego innego!

Głos jej drżał, czoło się groźnie zmarszczyło, uniosła się w tym pierwszym wybuchu, na jaki się odważyła w ciągu dwóch lat małżeństwa.

— Dobry sobie — mówiła, chodząc w rozdrażnieniu wzburzona po pracowni—wszystkiego-by mi odmówił!... i tak śmieją się ze mnie, że się uniosłam od świata i żyję jak niewolnica. Warto było za mąż wychodzić! Piękna mi żona artysty, której nikt nigdy nie widzi.

Każde słowo szpilką wbijało się w mózg Filipa; tak-że to przemawiała żona jego?... kobieta, która go kochała; która dzielić miała z nim wspólną dolę, dobre i złe losy?

Okropna prawda błysnęła mu nagle przed oczyma duszy: po za pięknem cielesnym Heleny, które zachwycało artystę, człowiek dojrzał teraz prawdziwą jej istotę moralną. Jakiś wielki, dziwny ból ścisnął mu serce.

— Heleno! — odezwał się tylko głuchym, pokornym głosem, jakby chciał sam siebie obudzić z tego przykrego osłupienia, w które go słowa i zachowanie się żony wprawiło.

Szorstko przerwała mu prawie z gniewem niehamowanym więcej:

— Daj mi pokój!... nie umiesz nic innego, tylko mruzczyć i przykrości mi sprawiać.

— Ależ, moje dziecko — zaczął znowu po chwili Filip — zechciej mnie wyrozumieć. Wiesz, że jestem człowiekiem pracy, że mamy, obowiązki coraz cięższe względem naszego dziecka — sztuka nie jest handlem, któryby dawał stałe dochody. Jestem artystą...

Urwał nagle, bo mu się zdawało, że spotkał spojrzenie żony lekceważące i ironiczne, które mu resztę słów z ust strąciło.

Artysta!... co dla niej znaczył w tej chwili artysta, sztuka, sława jego!... próżność kobiety nie rozumowała nad tem.

— Chodzi ci o wydatek? — rzekła — trzeba było od razu powiedzieć; nie zapominaj, proszę cię, że twojej łaski nie potrzebuję, mam przecież swój posag. Wezmę od mamy, ile mi będzie potrzeba i twojej ciężkiej pracy marnować nie będę, nie bój się o to!...

Zapuściła woalkę na twarz i wybiegła z pracowni męża, wzburzona do żywego, zostawiając go z głową, spuszczoną na piersi, jakby ją całe niebo przywaliło; całe niebo jego marzeń rozpadła się też zaczęło nad nim.

Uczuł, że mu sił zbrakło; oparł się łokciami o sztalugę, na której stał gipsowy model jego uśmiechniętego „Satyra.“ ciało ukrył w dłoniach rozpalonych i zatonał w myślach, które, jak rój szerszeni opadły teraz biedny mózg jego. Ta jedna chwila niby światłem błyskawicy rozświetliła przed nim przepaść, nad którą ujrzał się nagle; po dwóch latach małżeńskiego pożycia doszedł dziś do strasznego przekonania, że popełnił fatalną, nie do naprawienia, pomyłkę, żeniąc się z Heleną, bo poślubił istotę, z którą nie miał nic wspólnego ani w myślach, ani w uczuciach, a z którą musiał iść dalej drogą życia, straciwszy nadzieję porozumienia się kiedykolwiek. Byli obcy dla siebie i obcy pozostać już mieli na zawsze, bo ani dusze ich, ani serca nie potrafiły się zbliżyć i zrównać ze sobą.

Wszystkie jego marzenia o szczęściu małżeńskim rozprysły się raptownie; spojrzał w tę ciemną, mroźną grudziastą przyszłość, która ich oboje wspólnie teraz czekała, i zadrżał. Otworzył się przed nim piekło zamiast spodziewanego rajy na ziemi, do którego chciał dojść sam i doprowadzić wybraną przez siebie istotę, ale wrota do niego otwierają się tylko wybranym parom na wspólne zaklęcie zgodnej harmonii dusz, połączonych nie tylko miłością, lecz i wzajemnym zrozumieniem.

Poznał zapóźno, że dusza jego żony była tą pospolitą, poziomą mieszkanką ziemi, nie nieba, która ztamtąd nie przybywszy, nigdy wiodących tam szlaków odszukać nie była zdolna i szukać nie próbowała i nie pragnęła. Przeczuwał, że oboje szarpać się będą, skuci ze sobą nierozzerwalnym łańcuchem, i jedno drugiemu ciężcyć musi, zamiast pomagać w wspólnej drodze życia.

Ale cofnąć się było zapóźno...

Orzeł i łabędź spętani ze sobą nie mogą szybko wać jednemi szlakami.

Spojrzał teraz jasno na swoje życie, łuska spadła mu z oczu, lecz zaradzić spełnionym faktom nie potrafił.

Wówczas, jak jasny promyk słońca przez chmury przedarła się do niego myśl o Stefanku; przypomniał sobie dziecko swoje i serce zabiło mu

żywiej, radośniej, weselej — uczuł, że przecież nie będzie tak osamotnionym w życiu, ma syna, którego kocha i dla którego poświęcić się powinien.

— Stefuś mój, dziecię moje! — szepnął rozrzuconym głosem pełnym miłości, tęsknoty, jaka mu pierś przepełniła w tej chwili — ty mi jeden pozostałeś w tem życiu.

I podniósł oczy w górę, jakby do nieba słał prośbę o potwierdzenie tej nadziei i otuchy.

Wzrok jego spotkał się z szyderczym spojrzeniem „Satyra.“ który zdawał się chychotać złośliwie nad głową swojego twórcy i ogryzał pazury rzadkimi zębami, jakby je zaostrzał na szpony krogulcze.

III.

— „Większa korzyść u nas należeć do Liliputów“ — mówił Szalej, a Filip zbyt wcześnie przekonywać się zaczął o słuszności tego pesymistycznego twierdzenia.

Dopóki rozgłos jego nie ukłuł niczyjej ambicyi, nie zdrasnął niczyjej miłości własnej, nie zaszkodził niczym interesom, dopóty pozwalano mu być wielkim, utalentowanym, nie próbowano kwestyonować jego rzeczywistej wartości; skoro wszelako krytyka chwalić zaczęła jego pierwsze większe prace, a publiczność zanadto zajmować się niemi, zaczęła też powoli zawiść podnosić głowę.

— To sprytny człowiek, ten Morelli — mówił ten i ów — znać w nim Włocha, umie się reklamować.

— Hoho! — dorzuczał inny — wybrał sobie najpiękniejszą pannę w całym mieście, zwąchał posag od razu i robi teraz karierę. Prawdę zaś powiedziaławszy, więcej ma szczęścia, niż talentu.

Ktoś drugi z oburzeniem wołał:

— Albo to?... opływa we wszystko, jak pączek w maśle, a innym biedakom, co z głodu mrą, robotę zabiera. Lilienstock powierzył mu dekoracją swego salonu w nowej willi; czy to nie wstyd, żeby taki Morelli, co chce uchodzić za wielkiego artystę, podejmował się wykuwania amorków do bankierskiego kominu!...

— Cóż pan chcesz — objaśniał jakiś zjadliwy kolega — dla miłego grosza nasz Michał Anioł modelowałby gzemsy; piękna żonka drogo kosztuje. Sława swoją drogą, a interes swoją. Jemu więcej potrzeba, niż nam, bo my suchy chleb gryziemy, a on musi frykasami karmić siebie i swoją księżniczkę.

Powiadają, że powodzenie zyskuje przyjaciół i zwolenników, ale przysparza i zawistnych, i ukrytych wrogów; tych nawet częściej, niż pierwszych.

Ludziom wystarczają same pozory cudzego szczęścia, aby go zazdrościli.

Tak właśnie było z Morellem; sądzono go z tych powierzchownych rysów, z tych jaskrawych błysków nazewnątrz, ale nikomu na myśl nie przyszło, że ten „szczęśliwy człowiek“ mógł nosić w sercu tysiące cierni, które go kłuły, krwawiły, raniły tem dotkliwiej, że za dumny był, aby je knąć i poskarżyć się przed kimkolwiek.

W małej kawiarence, nazwanej „Dołkiem“ dla tego, że jej właściciel, dawny kelner w pierwszorzędnym restauracyach, nosił nazwisko Dołkowskiego, zbierała się codziennie po południu i wieczorami cała kolonia artystyczna, przy czarnej kawie na gawędkę i na czytanie dzienników.

Dołek słynął z tego, że się roił zwykle gośćmi z dziedziny Apolina i muz dziewięciu i że obfitował we wszystkie poważniejsze dzienniki krajowe i zagraniczne.

Wieczorami bywało tu gwarno, duszno od dymu, gazowych płomieni, zapachu kawy i araku.

Panowie artyści wspólnie z bracią literacką mieli swój osobny pokój, nazywany „ciupką“ i w nim do północy, a niekiedy do świtu, przesiadywały mniejsze lub większe kompanie wesołych

towarzyszy przy szklankach ponczu lub filiżankach czarnej kawy z likierem.

Dyskutowano głośno, hałaśliwie w miarę wychylonych kieliszków i obrabiano gromadnie najrozmaitsze kwestye, jakie każdy nowy dzień narzucał.

Knajpka zastępowała właściwie salon artystyczny a przewyższała go swobodą zupełną i bezceremonialną, jaką każde inne towarzyskie zebranie musiałoby kępować.

Siedziano tu w kapeluszu na głowie, w surdutach i kamizelkach rozpiętych, z nogami założonymi na ławkach, nie liczone się ze słowami, a obecność uśmiechniętej kassyerki za bufetem z lustrzanymi szafkami zamiast nakładać pęta zbyt swobodnym językiem, podniecała je właśnie bardzo często do ryzykownych konceptów i wybryków dobrego humoru.

Dołkowski ze serwetką na ramieniu obsługiwał sam swoich uprzywilejowanych gości, mieszając się często do rozmowy z poufałością człowieka, który udzielanym kredytem nabył sobie prawo do przekraczania granicy, jaka oddzielać go od innych była powinna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Wrześniu 1886 r.

Paryż widocznie się ożywia, na bulwarach i ulicach panuje ruch niezwykły; afisze teatralne oznajmniają tytuły nowych sztuk, ale są to dopiero pierwsze gońce, które znikną niebawem ze sceny i utoną w fali zapomnienia. Nie będziemy wspominać tych eferyd, ale powiedzmy słówko o dramacie p. t. *Juarez*, wystawionym wczoraj w teatrze Chateau d'Eau. Autor sztuki p. Gassier, z nią czekał — jak mówi w *Dziadach* Mickiewicz „aż się figa ucukruje i tytuń uleży“, ale osnuł rzecz na zbyt blizkich wypadkach, a co większa wprowadził na scenę żyjące osoby: cesarzową Meksyku Charlotte, dotkniętą dziś obłąkaniem zmysłów, i wygnanego z Francji marszałka Bazaine'a.

Siedm lat temu professor napisał swój dramat historyczny, ale przez siedm lat cenzura stawiała *velo* przeciwko jego przedstawieniu, aż znużona ciągłym naleganiem autora, dała nakoniec pozwolenie. Publiczność jednak okazała się surowszą od cenzury. Od pierwszego do ostatniego aktu przeraźliwe krzyki, klątwy, naszczekiwania, połączone z oklaskami najętych klakerów, z łoskotem sypiących się kasztanów, orzechów i jabłek, tak zagłuszyły wszystko, że niepodobna było dosłyszyć ani jednego słowa.

Patryotyzm Juareza nie poruszył wcale Francuzów; pamiętali bowiem, że morderca Maksymiliana był najzaciętszym wrogiem Francji. To też, oprócz garstki kosmopolitycznych anarchistów, słuchacze wszystkich stronnictw, nie wyłączając wrogów Cesarstwa, połączyli się razem w potępieniu bezecnej sztuki, która nie długo plamiła scenę paryzką. Dziwimy się nawet odwadze dyrektora, że po wczorajszych skandalach, ogłosił nowe na dzisiaj przedstawienie. Wyraźne to ustępstwo dla internacjonalistów i anarchistów paryzkich.

Z tej nieszczęśliwej próby nie chcemy jednak wróżyć o losach teatrów, na rozpoczynającą się porę jesienną i zimową. Teatr Francuzki wystąpi wkrótce z *Myszką* Paillerona, o której nic dotąd powiedzieć nie możemy, treść sztuki bowiem grubą osłonioną tajemnicą. Niewiele więcej wiemy o świeżo wykonanej sztuce Wiktora Sardou, pod tytułem: *Krokodyl*, przeznaczonej od teatru Porte St. Martin. Ależ ów krokodyl nie ma żadnego związku z owym potworem nilowym jakiego Klara żąda od Albina w „Słubach Panię-

skich.“ Jest to poprostu nazwa parowca, przepływającego z Antwerpii do Hong-Kong. Dramat rozpoczyna się i kończy na okręcie.

Treść dotąd nieznana nikomu. Wiadomo tylko, że autor postanowił na ten raz zrzec się wielkich efektów, jakie wywołuje gwałtowna gra namiętności. Ma to być sztuka prosta, wesoła, uczciwa, sztuka, na którą każda troskliwa matka poprowadzić może niewinną córkę.

Zachętę do takiego utworu dała autorowi kilkunasto-letnia córeczka. Wymawiała ona ojcu, że pisze takie tylko sztuki, na których jej bywać nie wolno. Sardou obiecał zadowolnić dziewczynkę. Nowa sztuka nosiła pierwotnie tytuł: *Eawa korallowa*; miało wchodzić do niej zaledwie dziesięć osób, wystawa miała się odznaczać wielką prostotą. Tymczasem przedmiot porwał mimowoli dramaturga: liczba wprowadzonych osób z dziesięciu urosła do pięćdziesięciu z górą; nad dekoracjami pracuje od pół roku kilku zawołanych artystów; Massenet pisze melodie do śpiewek, sama zmiana w tytule *Eawy korallowej* na straszliwego *Krokodyla*, budzi w nas obawę, czy córeczka autora nie dozna przed przykrego zawodu.

Od teatru przejdźmy na szerszą widownię, do Instytutu Francuzkiego, złożonego z pięciu naukowych i literackich akademii. W tym poważnym instytucie wielka dziś radość, wielki tryumf. Książę Aumale, powołany przed dziesięć lat do Akademii Francuzkiej, nieco później na członka Akademii nauk społecznych, ofiarował na rzecz Instytutu, dar prawdziwie królewski. W dzieciennych jeszcze latach otrzymał on prawem wpisu, po chrzestnym ojcu swoim, ostatnim z Kondeuszów, ogromny majątek, a z nim miasto Chantilly, wspaniałe gniazdo tego słynnego rodu. Od lat piętnastu książę Aumale obrał rezydencją w tem mieście, położonem o kilka mil od Paryża. Tu na gruzach starego zamku zbudował gmach wspaniały; do dawnych zabytków, na które się składały wieki, dołączał bezustanku drogocenne dzieła z różnych epok, nabywał co rok najpiękniejsze utwory pendzla i dłuta, aż utworzył bogate muzeum sztuki francuzkiej. Znamywieceni cenili te zbiory wraz z ogromną a wyborową biblioteką, na 25,000,000 franków. Co zaś do dóbr Chantilly obejmujących 10,000 hektarów ziemi, wartość ich takąż samą wynosi sumę. Otóż więc książę Aumale, wyrokiem rządu zmuszony opuścić Francję, przekazał miasto Chantilly i wszystkie zbiory artystyczne na rzecz Instytutu Francuzkiego.

W urzędowym akcie donacyjnym książę wyraził życzenie, aby zamek zachował w całości swój charakter, aby w kaplicy zamkowej co niedziela i święto, jak niemniej w dniu aniwersarży odbywało się nabożeństwo, aby zbiory artystyczne i naukowe, pod nazwą *Muzeum Kondeszów*; otwarte były dla publiczności dwa razy na tydzień w przeciągu sześciu miesięcy, w każdym zaś czasie dla uczącej się młodzieży i literatów.

Dochód z majątku wynoszący 500,000 franków, ma być z woli donatora użyty w części na nabywanie dzieł sztuki i książek, w części na pensje dożywotne dla ubogich a zasłużonych artystów i ludzi pióra, oraz na fundacyę nowych nagród w celu zachęty do prac naukowych literackich i artystycznych.

Książę zastrzegł sobie używalność do śmierci, ale akt sporządzony jest w taki sposób, że nawet wola testatora obalić go nie może.

Pierwszy to dar tak wielkiej doniosłości otrzymał Instytut Francuzki od czasu swego istnienia; pomniejsze jednak dary sypią się na niego rok rocznie i pozwalają mu coraz bardziej rozszerzać koło swej działalności. Przed laty oto szesnastu hrabina Caen, córka bogatego notariusza paryskiego, zapisała na rzecz Instytutu dochód z pasażu Vivienne, przynoszący rocznie do 45,000 fr., z obowiązkiem wypłacania przez lat trzy, po tyśiąc franków dwunastu młodym malarzom, rzeźbiarzom i architektom, po powrocie ich z Rzymu, gdzie kosztem rządu odbywali nauki. Co rok do dawnych przybywają nowi pensjonarze.

Wszystkie legata zebrane razem z hojnym legatem Montyon'a ogromną wynoszą sumę. Dość powiedzieć, że sama Akademia Francuzka roz-

daje rocznie tytułem nagród konkursowych do stu tysięcy franków. Inne wydziały, szczerze też uposażone; Akademia Nauk r dziela pomiędzy laureatów sto pięćdziesiąt tysięcy.

Mówiąc o donacji wygnanego z ojczyzny księcia Aumale, przypomnijmy tu piękny legat cesarzowej Eugenii, uczyniony przed laty kilku. Po upadku Napoleona III władze rzeszypospolitej zajęły wyrokiem sądowym zamek Pharo w mieście Marsylii, uważając w nim własność narodową. Zdy tymczasem zamek ten był własnością prywatną rodziny. Cesarzowa wytoczyła proces wykazała prawa swoje, a gdy sąd uznał niezaprzeczoną ich ważność, darowała piękny zamek na rzecz miasta, z zastrzeżeniem, że obrócony będzie na miłośnierny zakład. Stało się zadość woli cesarzowej. Zamek Pharo daje dziś przytułek ubogim i kalekom, a przed dwoma laty stał się dla miasta prawdziwym dobrodziejstwem, zamieniony na szpital dotkniętych cholerą Marsyliczyków.

Ernest Reier, autor *Signola* i *Salambo*, równie poważny krytyk, jak biegły kompozytor, wystąpił w tych czasach nadzwyczaj ostro przeciw nadużyciu fortepianów. Zdaniem jego instrument ten największą jest plagą tak dla społeczeństwa, jak dla samej muzyki, kalecząc bowiem uszy, budzi do niej powszechną odrazę. Tak daleko posuwa Reier zaciętość swoją, że radzi, aby rząd opodatkował fortepiany. „Pies, mówi on, szczeka tylko na dwie nuty, a przecież nakazano płacić za niego dziesięć franków dla zapewnienia spokojności porządnemu społeczeństwu. Jakąby opłatę wypadało nałożyć na fortepian, który szczeka na osmdziesięciu pięciu nutach!”

To silne wystąpienie Reiera przypomniło nam wymowny głos zmarłego od dwóch lat poety Wiktora Laprade, który nakrótka przed skonaniem, w dziele p. t. *Du sentiment de la nature* potępia ostro, nie sztukę muzyczną, ale nadany jej błędny kierunek przez artystów, którym idzie głównie o sprawienie efektu, o szarpanie nerwów słuchaczom. „Wszystkie sztuki—dodaje znakomity krytyk—na fałszywą dziś weszły drogę; malarstwo upada pod dziwaczniemi pomysłami kolorystów, muzyka i poezja chyli się do upadku, pod nagromadzonemi z umysłu trudnościami, których pokonanie ma być najwyższym tryumfem sztuki.

Zarówno, jak Reiera, tak i Laprade'a, oburza powódz fortepianów zalewająca Paryż i Francję. Przyrównywa ją do filoxery, mnożącej się w niepojęty sposób. „Nie przesadzaj, mówi on, gdy powiem, że 500,000 tych instrumentów dzwoni dziś we Francji, przerywasen znużonym, męci myśl poważnym pracownikom, wygania z salonów miłą i ożywiającą rozmowę, słowem niszczy najpiękniejszy kwiat francuzkiej cywilizacji!”

„Dawniej, ciągnie Laprade, kiedy literatura i poezja zajmowały jeszcze miejsce w rodzinnych zebraniach, odczytany wiersz lub piękny ustęp prozą dawał pobudkę do rozpraw i krytyk, wywoływał różnostronne zdania. Tym sposobem wzbogacała się wiedza i rozwijał smak estetyczny. Dwadzieścia wierszy Korneła lub jakiego nowego poety nasuwało mnóstwo myśli i uwag. Dziś po odegraniu sonaty cóż słyszysz? oto czeze wykrzykniki lub ogólnikowe pochwały, powtarzane na pamięć według przyjętych formuł. Muzyka nie ożywi umysłu, nie podnieci rozmowy, działa bowiem tylko na nerwy, budzi tylko przelotne wrażenia.”

Na szczególną uwagę zasługuje pogląd na muzykę w stosunku do wychowania panien. Umie Laprade uszanować prawdziwy talent; dziewczętom, które otrzymały go udziałem, radzi poświęcać muzyce po dwie lub trzy godziny na dzień; tym nawet, które, bez nadzwyczajnej zdolności, mają przeciw poczucie muzyczne, zaleca uprawiać dar wrodzony; ale za to gromi najsurowiej to ślepe uganianie się za modą, to marnotrawstwo czasu, na jakie naraża bezowocna uprawa sztuki, tak tradnej zwłaszcza przy dzisiejszych wymaganiach.

„Ileż-to matek, mówi autor, nie widząc nawet iskierki talentu w córkach, nagania je przeciw do fortepianu, aby zając je w niewinny sposób!

Prawda, fortepian chroni od obmowy, ale zabija też i pożyteczną rozmowę; prawda, odciąga od złych książek, ale odciąga też i od dobrych; zastępuje błahe zajęcia, lecz zastępuje i pożyteczne prace! Jeśli stawia zaporę myśli, puszcza za to wodze marzeniom częstokroć chorobliwym; odwodzi nie tylko od literatury, lecz i od wielkich domowych obowiązków.”

Poeta kończy odwołaniem się do Mozarta i Beethovena. „Duchy tych mistrzów, mówi on, osądzą mnie i rozgrzeszą wiedzą bowiem dla czego dzisiejszy kierunek muzyki zadowolić mnie nie może.” Taż sama myśl dała i Reierowi pobudkę do surowej odezwy przeciw fortepianom.

Od muzyki przejdźmy na inne pole sztuki. Jeden z utalentowanych malarzy scen wojskowych, Berne-Bellecour, wykończył właśnie obraz przedstawiający abdykacyę cesarza Napoleona, 6 Kwietnia 1814 roku. Obraz to małych rozmiarów, ale wykonany z wielkim staraniem, tak całość, jak i najdrobniejsze akcesorya oddane żywą prawdą. Artysta poświęcił mu rok pracy.

Cesarz siedzi w wielkiej sali przed małym stolikiem, rysy pięknego oblicza, wyrażają głęboki smutek. Trzyma w ręku akt tylko co podpisany, ukazuje go zgromadzonym marszałkom. Wszyscy cisną się ku niemu, na twarzy jednych widoczny podziw, w innych przebija zadowolenie. Każdy pragnie ucałować rękę cesarską. Przystępuje pierwszy Ney, pochwylił rękę, ale uchyła głowę, odwraca ją, by nie spotkać wzroku Napoleona, i ukryć dręczący go wyrzut. Za Neyem stoją Oudinot i Lefèvre, obaj z posiwiałym włosom. Nieco głębiej Macdonald przemawia do Caulincourta, rzewnemi zalewającego się łzami. Wielki dramat historyczny oddany pomistrzowski.

Berne-Bellecour wykonał obraz swój w pałacu Fontaineblewskim, gdzie jak wiadomo, sala w której spełnił się dramat pozostała taką, jak była w tamte czasy. Owóz Fontainebleau stawia w myśli naszej genialną malarzkę Różę Bonheur, zamieszkałą oddawna pod cieniem tutejszych lasów. Przed laty dwudziestu krajobrazy tej artystki, jej owce, krowy i inne, dzikie nawet zwierzęta, budziły ogólny podziw na dorocznych wystawach. Opowiadano cuda o jej pracowni, która wyglądała na istną menażeryę. Nagle Róża Bonheur znikła z paryskiego widnokręgu; na próżno w salonie szukano jej obrazów. Ztąd urosła legenda, że artystka pracuje wyłącznie dla nababów amerykańskich, którzy garsmi dolarów zasypują jej płótna. Nie było w tem słowa prawdy; kilka małych obrazków przepłynęło w rzeczy samej ocean, ale były to dorywcze szkice; najpiękniejsze utwory pozostały wszystkie w kraju, właścicielem ich wielki miłośnik sztuki francuzkiej, który posiada pyszną galerię w Nicei. Tam błyszczą arcydzieła Róży Bonheur.

Najwspanialszy z tych obrazów przedstawia na ogromnym płótnie rodzinę lwia w legowisku. W pośrodku czuwa lew ogromnej wielkości z ognistym wzrokiem i najeżoną grzywą. Na ziemi leży lwica, a przy niej dwoje lwiatek. Artystka nie malowała z fantazyi; żywe modele sprowadzone dla niej z Afryki, nabyte za 8,000 franków, miały siedzibę w parku otaczającym jej zamek, w bliskości Fontainebleau. Ukończony obraz, Róża Boheur darowała ojca i matkę do ogrodu botanicznego, lwiatka zachowała w parku, gdzie żyją ułaskawione i przywiązane do swej pani.

Drugi z wielkich utworów, nosi tytuł: *Jelen w lesie Fontainebleau*. Na tle pysznego krajobrazu podnosi rogatą głowę zwierzę ogromnej wielkości. I ten przebywał długo w parku; artystka malowała ów obraz podczas wojny roku 1871.

Po zawieszeniu broni, książę Saski, stojący kwaterą w Fontainebleau, udał się dnia jednego z całym sztabem do zamku By, własności Róży Bonheur. Wysłał do artystki adjutanta, z prośbą, aby pozwoliła złożyć jej winne hołdy. Uwiadomiona o tych odwiedzinach, Róża wyprawiła do księcia wierną służkę z oświadczeniem, że po klęskach, jakie spadły na jej ziemię ojczystą, byłoby dla niej zbyt bolesnie przyjmowanie oficerów niemieckich.

Książę nalegał, aby mu pozwolono zobaczyć ostatnie utwory wielkiej malarki.

„Nie podobna — odrzekła przez służbę Róża Bonheur. — czy francuskie jeszcze ich dotąd nie widziały!”

Mimo najusilniejszych nalegań, artystka od dawna nie posyła obrazów swoich do salonu, gdzie takie niegdyś odbierała tryumfy.

— Dość tego — powtarza — czas popisów minął już dla mnie, zostawmy miejsce młodym!

Sew. Duchńska.

DAWNI I NOWOCZEŚNI

przez Paul de St. Victor.

Ryszard Brinsley Sheridan.

...Ryszard Brinsley Sheridan należy do najciekawszych postaci w XVIII Anglii, tak bogatej w szczególne typy. Syn aktora, poeta komiczny, życie zapelniał kontrastami i zmianami. Nic w niem nie brak, ani wielkości ani upadku, ani dziwactwa ani patosu, ani dzwonek błazeńskich Yoricka, ani butelki Falstaffa, ani niełaski u tego wielkiego świata, który go długo fetował i pieścił...

Występ Sheridan w życiu jest jakby pierwszą sceną komedii awanturkowej. Wykrada młodą śpiewaczkę, zaślubia ją potajemnie we Francji, powraca i pojedynkuje się dwa razy z rywalem. Z tego wykradzenia pojedynku i ślubu układa komedią p. t. „Rywale,” która upada podczas pierwszego przedstawienia, ale nazajutrz sławioną jest pod niebiosami. Nazwisko jego staje się znanem, sława zdobyta. Szkoła skandalu podwyższa do szczytu tę zaimprovizowaną sławę. W 26 roku życia, uchodzi za pierwszego poety dramatycznego swego czasu i swego kraju. Z teatru Drury-Lane, którego się stał właścicielem, przechodzi na dramatyczniejszą scenę, aniżeli jest nią scena fikcji. Przyjaźń Foxa otwiera mu naście świat polityczny. W r. 1780 zostaje członkiem Parlamentu.

Improwizacja była darem tego umysłu ogniowego i giętkiego, łatwego i ruchliwego, który błyszczał ze wszystkich stron, ale się nigdy ustalić nie zdołał. Sheridan, zaciągnięty do stronnictwa Whigów, nie był nigdy jego wodzem, ale wnet został pierwszym jego wirtuozem. Olsnił i zadziwił Izbę. Wymowa jego, to wzruszająca to szydercza, wspaniała i błazeńska, przerobiła trybunę na teatr, w którym polityka grała na przemian dramat i komedię. Mordercza zrzętność, z jaką ranił sarkazmem i ciskał epigramate, straszyla najpotężniejszych mówców.

Pewnego dnia, po jednej ze swych mów tragicomicznych, w których celował, musiał znieść z krwawą ironią Pitta: „Nikt — rzekł młody minister — nie podziwiał więc ode mnie talentów szanownego członka, błysków jego wyobraźni, tonu dramatycznego jego słów, roli epigramatycznej, którą zaprawia swoje frazesy, i gdyby je zachował dla teatru, najodpowiedniejszego dla nich miejsca, ani wątpię, że zdobyłyby sobie to, co zdobywają wszystkie utwory dramatyczne szanownego członka, i że miałyby szczęście: *sui plausu gaudere theatri*. Lecz parlament nie jest sceną odpowiednią dla takich pięknych rzeczy.”

Cios ten byłby ugodził śmiertelnie w każdego innego, ale Sheridan miał ów dar dobrego humoru, który czyni niezwyciężonym. „Izba — odpowiedział — mogła ocenić wytworną grzeczność, którą spełnił szanowny człowiek względem mnie. Ograniczę się przeto do zapewnienia, że ilekroć zechce znowu powtórzyć tesame alluzje, cieszyć się z nich będę. Powiem więcej: zachęcony panegirkiem szanownego członka co do moich talentów, ośmielę się, jeżeli kiedykolwiek jeszcze zabiorę się do tego rodzaju utworów, o których szanowny wspominał, dodać kilka rysów jednemu z najlepszych charakterów nakreślonych przez Ben-Jonsona, to jest: owemu rozgniewanemu chłopcu w *Alchemiście*.”

Pitt zagryzł wargi, chłopiec rozgniewany widział się pobitym i nie szepnął już ani słówka...

Mowa Sheridan na 7 Październik 1784 r. przeciw Warren Hastingsowi panuje jeszcze dziś wspomnieniem na trybunie angielskiej. Warren Hastings powrócił z Indii, obarczony sławą i zbrodniami, przynosząc w darze swej ojczyźnie świat zdobyty i strazianizowany, wrócił obładowany skarbami i krwią dwudziestu milionów ludzi. Był to Alexander, uzbrojony w wagi i nóż Shylocka, był to Verres podwyższony do rozmiarów Azji, a który rabował, nie świątynie lub miasta, torturował nie obywateli, ale ludy i konfiskował królestwa zamiast waz złotych i posągów greckich.

Anglia przyjęła zrazu w triumfie zwyciężcę Indii, lecz gdy krew płynąca za jego okrętem rozlała się jak olbrzymia smuga, gdy z Benares doszło echo łkań całego jednego świata, zadrgała oburzeniem... Burke stał się tłumaczem tych wyrzutów sumienia całego narodu i zaproponował Izbie postawić tyrana w stanie oskarżenia.

Wtedy-to podniósł Sheridan i wypowiedział sławną swą mowę.

Starożytni adwokaci stawiali swego zranionego klienta przed kratkami, poczem, gdy lud zaczął się burzyć lub wzruszać, rozdzielali jego tunikę, odkrywali jego piersi przeszyte nożem mordercy, albo jego ramiona skaleczone biczem wykonawcy. Sheridan sprawił tensam efekt za pomocą czaru swej wymowy. Wywołał obraz Indii skrwawionej przed kratki Izby, uplastycznił ją swem słowem; kazał krzyżeć jej ranom i potrząsać kajdanami; zmiażdżył Hastingsa pogardą i przekleństwem, uderzył w niego piorunem i błotem. Kompania Indyjska ukazała się w jego mowie pod obrazem brudnej tyranii kupieckiej, mieszającej chciwie tandeciarza z zuchwałością korsarza gwałtowność despotyzmu z szacherką wekslarską ukazała się jako ruinująca całe prowincje dla podwyższenia dywidendy, używająca armii na wyzwanie z majątku, rabująca miasta dla wyekwowania wekslu, detronująca władców dla ustalenia równowagi w rachunkach, trzymająca nareszcie jedną ręką buławę marszałkowską a drugą wypróżniającą kieszenie.

Wrażenie było olbrzymie, niesłychane i niewidziane, co można było stwierdzić krzykiem uwielbienia jego rywali i jego współzawodników. Burke oświadczył, że mowa ta była największym efektem oratorskim, jaki zapamiętała tradycja i historia. Fox rzekł, że wszystko co słyszał lub czytał, w porównaniu z mową Sheridan zniżył, jak para przed słońcem. Pitt przyznał, że przewyższyła wszystkie arcydzieła oratorskie dawnych i nowych wieków. Zaproponował odroczenie wniosku, ażeby jak rzekł, miało się czas otrząsnąć z tego czaru.

Anegdota społeczna zachowała nam wrażenie tej nieporównanej mowy. P. Logan, jeden z członków Parlamentu był uprzedzony niezmiernie na korzyść oskarżonego, a przeciw oskarżycielowi. Po upływie pierwszej godziny rzekł do swego przyjaciela: „W tem wszystkim widzę tylko same deklamacje.” Po upływie drugiej: „Mowa i stotnie zadziwiająca.” Po upływie trzeciej: „Pan Hastings działał w sposób niedający się usprawiedliwić.” Po czwartej: „P. Hastings jest olbrzymim zbrodniarzem;” a na końcu mowy: „Ze wszystkich potworów niegodziwych, najohydniejszym jest Warren Hastings.”

Rzecz ciekawa, chociaż tłumaczona się lekkością, która zmarnowała życie tak bujne Sheridan, mowa ta jego ulotniła się, poniósł ją wicher, tak jak mowy Demostenesa, zwinione nad brzegami morza; żadne pióro nie zachowało jej żadna książka nie uwieczniła, zaledwie został się z niej suchy i chudy szkic, pogrzebiony w sprawozdaniach urzędowych. Sheridan nie dbał o to lub zaniedbał napisania jej pomimo ofiarowanych sobie za nią przez księgarza tysiąca funtów sterl. Może lekka się oziębiła, które chwyciła słowo skoro już raz wybiegło z gorących ust a może sądził, że ta mowa nadzwyczajna zyska na tem, że przeleciała jak meteor gasnący z chwilą, gdy raz olsnił blaskiem swym ziemię, bo mowa o nim w długie jeszcze wieki potem.

W życiu Sheridan jest jedna epoka świetna, pełna życia i ruchu. Arystokracja przyjęła go

za swego, książę Walii zrobił go swym ulubieńcem i doradcą; szedł w pierwszym rządzie świeżego stronnictwa i był wyrocznią sceny angielskiej. Poufale żyjąc ze wszystkimi osobistościami swego czasu, wyrocznia klubów, wybraniec rautów, pracował duchem swym, tak jak Brummel pracował swą elegancją.

Upadek był taksamo szybki, jak szybkim było wzniesienie się. Brakło podstawy temu życiu, tak błyszczącemu napozór. Majątek Sheridan był rzeczywiście pałacem zbudowanym z kart. Żył z przygodnego wypadku szalonej gry i niestałych dochodów teatru. Marnotrawny, aż do szaleństwa, mógł powiedzieć, jak jeden z bohaterów Shakespeare'a: „Żebracy tylko liczą pieniądze.” Nieład był jego żywiołem i bodźcem; sarkawa jego, otwarta dla każdego, zamknięta tylko była dla wierzycieli.

Pewnego wieczora, w chwili, gdy uczestniczył w obradach Parlamentu, odbłysk pożaru oświecił salę. Gruchnęło, że teatr Drury-Lane stoi w ogniu. Natychmiast zaproponowano odroczenie dyskusji, atoli Sheridan, podniósłszy się z miejsca, rzekł: „że kłeska prywatna, choćby najstraszniejsza, nie powinna ani na chwilę przerywać spraw publicznych, i zażądał dalszego ciągu dyskusji.” Po posiedzeniu poszedł do kawiarni na placu Drury-Lane kazał sobie podać butelkę portweinu i patrzył na pożar z fatalizmem wschodnim. Jeden z jego przyjaciół chwalił go za tę krew zimną, na co odrzekł: „Zapewne, że przecie wolno człowiekowi wypić szklanek winna wtedy, gdy się grzeje przy swym ogniu.”

Sheridan nie podniósł się więcej po tej katastrofie. Kłopoty pieniężne zawikłały go w swą sieć nieprzebytą, tak, że resztki swego życia zużył na wydobywanie się z niej daremne. Wszystkiego zbrakło mu naraz: majątku i kredytu. Stanowisko jego, które go podtrzymywało dotychczas, zachwiało się, tak, że już w r. 1812 nie został na nowo obrany przy wyborach ze Stratfordu.

Wykluczony z parlamentu, wnet się wykołoił. Świat, który parweniusza fetował w tryumfie, zamknął się teraz przed nieszczęśliwym starcem. Arystokracja angielska ma kaprysy królewskie, pragnie, ażeby jej bawidełka były przynajmniej pozłacane. Niesprawiedliwa, tak jak Fortuna, usuwa swą łaskę bez litości ulubieńcom, którym się noga powinęła. Zamiast szlachectwa, żąda od nich równości w bogactwie i zbytku. Skoro Brummel zbankrutował, zrzuciła go w jednym dniu z dyktatury mody, którą dzierżył tak długo i wyznała go do Calais w charakterze konsula czwartej klasy; gdy Sheridan wszystko stracił, osamotniła go i wyznała z West-Endu.

Wino dokończyło degradacji wielkiego człowieka. Należało to do ułomności jego rasy i jego epoki. Wszyscy pili w tej Anglii burzliwej w pierwszych piętnastu latach stulecia, ażeby się zahartować i oszołomić, począwszy od Pitta, a skończywszy na Brummelu. Ale wino wesołe i uśmiechnięte w kielichu młodości, przetrada się w ponure i nabiera „koloru krwi” wszklance, z której pije zrozpaczony. Pociąg do wina zmienia wtedy naraz i swą nazwę i swą formę: staje się pijaństwem...

W tej to epoce upadku poznał Byron starego Sheridan. Ze zwykłą sobie szlachetną wspaniałością zeszedł młody bóg z piedestału, ażeby pocieszyć pobitego atlete. Opowiada on w swych „Pamiętnikach” scenę wzruszającą, której był świadkiem. „Pewnego wieczoru u Robina miałem zaszczyt siedzieć przy Sheridanie. Zrobiono uwagę, co do stałości, jaką okazują Whigowie w odrzuceniu wszelkich posad, ażeby tylko nie ubliżyć swym zasadom. — „Panie — odezwał się Sheridan — zaiste łatwo jest milordowi G. albo hrabiemu S. albo margrabiemu B., liczącym dochody swe na miliony, chełpić się swym patriotyzmem i opierać się pokusom; ale nie wiedzą oni, ile potrzeba siły tym, którzy z równą im dumą, a talentami może wyższymi i namiętnościami gołętszemi, nie posiadali w całym swym życiu ani szylinga” — a mówiąc to, zapłakał.

Było to istotnie nieszczęściem Sheridan; miał wszelkie instynkta wielkiego pana, niemając majątku, był z tych, którzy urodzeni są „aby nie prząść i nie pracować”, a być przytem „wspa-

nialnym od Salomona w jego gloryi.“ „Gdyby jaki czarodziej—rzekł o nim Richardson — mógł laską swą czarodziejską wzbogacić Sheridaną, przestoczyłby go natychmiast w człowieka bardzo szacownego i bardzo moralnego.

Koniec życia jego był oplakania godny; ostatnie lata przeszły mu na walce z bólami życia fizycznego; znakomity jego umysł, który olśnił Parlament i czarował w teatrze, wyczerpywał się teraz w pomysłach załagodzenia wierzyteli i libwiarzy. Udawało mu się to czasami, i były to ostatnie jego sukcesy. Raz spotkał go Byron u prokuratora; kiedy Sheridan wyszedł, poeta zapytał sędzię czego chciał od niego? „Ba — odrzekł tenże — zawsze tasama historia: przyszedł mnie prosić, ażeby go nie ścigać za należytość kupca win. — I cóż pan uczynisz? — Nic w tej chwili. Któżby miał serce ruszać starego Sherry?... a potem, cóżby się na tem zyskało?

„Takim był Sheridan — powiada Bairo — mógł wrzucić prokuratora, a od czasów Orfeusza, nie się nie zdarzyło równie zadziwiającego.“

Atoli cuda nie powtarzają się często; stary Sherry ścigany przez sforę wierzyteli, podał się. Czarny zastęp woźnych oblegał jego barłóg śmiertelny; dwóch siepaczy miało już wyprowadzać z sobą umierającego, owiniętego w kołdrę, gdy jakiś przyjaciel chciał oszczędzić Anglii ostatniej tej hańby. Społeczeństwo angielskie opuściło bezwstydnie swego ulubieńca w chwili konania, a nędzna jałmużna 50 funtów, posłana przez księcia Walii na łożo śmierci, hańbi go.

Prawda, że ta Anglia wyprawiała staremu poecie pogrzeb wspaniały. Książęta krwi, arystokracja izby w komplecie, odprowadziły go z wszelką pompą do Westminsteru. Jakaż ironia okrutna w tych zaszczytach pośmiertnych oddawanych ofiarom niewdzięczności wielkiego ludu? Jest to apoteoza po zadaniu męczarani. *Sit divus dum non sit vivus*. Zdaje się mówić świat tak, jak Cezar rzymski o tych, których zabijać kazał.

„Biedny Sherry! — woła Byron — a ten krzyk poety słaui Sheridaną więcej od jego nagrobku królewskiego i orszaku tryumfalnego w dniu pogrzebu... Jakaż wielka dusza wychłodziła przez ubóstwo! I widzieć wpływających w zdrowiu tych, którzy z nim pędzili razem życie, a których ciemne dusze oświecił on blaskiem swego geniuszu! Sybaryci, których sen przerwałoy szelest listka róży, a którzy pozwolili mu umrzeć na barłogu nędzy, gnębionego przez mirmidonnów sprawiedliwości! O! jakże to odstręczać powinno od tych liberałów bez szlachetności i bez serca!

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Październiku.

Medal ku czci księcia Adama Sapiehy. — Wystawa bydła, narzędzi rolniczych i kwiatów. — Kasyno kobiece. — Pożegnanie p. Boberskiego, inspektora szkół ludowych przez grono nauczycielskie. — Andrzej Grabowski. — Trzech przyjaciół artystów. — *Puławy* przez L. hr. Dębickiego. — Zjazd techników. — Wycieczka do Podhorzec i Słobody Rungurskiej.

Wręczenie medalu ofiarowanego przez Towarzystwo Gospodarskie prezesowi tegoż księciu Adamowi Sapieżu ku uczczeniu dwudziestu pięciu lat działalności jego w Towarzystwie odbyło się uroczystie podczas walnego zgromadzenia, na które umyślnie w tym celu przybyli delegaci wszystkich oddziałów Towarzystwa i prezesowie tychże. Uchwała co do wybitia medalu pamiątkowego dla księcia zapadła na zgromadzeniu zimowem. Zawiązał się osobny komitet celem wykonania uchwały, a czele stanął jeden z najzamożniejszych obywateli kraju, Mieczysław hr. Borkowski. Za staraniem tegoż komitetu wybity został medal w Paryżu u Tasseta, odznaczający się przeszlicznym wykonaniem artystycznym, tudzież nadzwyczaj wiernie schwyconem podobieństwem, co w znacznej części jest zasługą tutejszego artysty rzeźbiarza, professora Markoniego,

przez którego wykonane popiersie księcia, wybornie modelowane z gipsu, służyło za wzór paryżkiemu medalierowi. Obok medalu wręczono księciu adres z podpisami członków Towarzystwa, z każdego oddziału na osobnym arkuszu, co razem zebrane utworzyło piękne album w pełnej prostoty i dobrego smaku oprawie z ciemno-amarantowego aksamitu, ozdobnej herbem Towarzystwa Gospodarskiego, na srebrnej blasze. U góry adresu piękna akwarella Tepy wyobraża rolnika spoczywającego przy pługu.

Osobno ofiarowali księciu członkowie centralnego komitetu Towarzystwa album ze swemi fotografiami i podpisami. Książę podziękował zgromadzonym krótką serdeczną przemową, w której podniósł zadanie rolnictwa w ogólnej cywilizacyjnej pracy społeczeństwa i zagrzewał, by iść ręką w rękę w pracy, gdyż tylko tym sposobem zdolamy odwrócić klęski, któremi rolnictwu naszemu grożą gromadzące się ponad niem ciężkie chmury. Z tego wychodząc punktu, rzucił książę, ze zwykłą sobie wymową, trafny pogląd na obecne położenie i wypowiedział myśli głęboko do przekonania wnioskami.

Temi dniami mieliśmy wystawę bydła, narzędzi rolniczych i kwiatów, urządzoną przez Towarzystwo Gospodarskie, z okazji walnego zgromadzenia i przypadającego w tymże samym czasie targu zbożowego. Wystawa, urządzona w parku niedys Skrzyńskich, obecnie hr. Badenich, w górze poza ogrodem miejskim, była wprawdzie malenią, miniaturową, ale pięknem odznaczając się urządzeniem, ściągającą przez trzy dni liczną publiczność, — i także stała się niejako miejscem schadzki całego Lwowa. Przyczyniła się do tego towarzysząca wystawie pogoda i miejsce, gdzie ją urządzono. Park Skrzyńskich, z cieniściami alejami, pomiędzy któremi ciągną się szerokie trawniki, gdzie umieszczono zabudowania wystawy, ma sam w sobie tyle powabu, pomimo zaniedbania, w jakim się znajduje, iż każdy z przyjemnością śpieszył spędzić wpośród jego świeżości i zieloności parę godzin popołudniowych, przy towarzyszeniu doborowej muzyki wojskowej, odgrywającej najulubieńsze nasze pieśni, do których zawsze łąnie ucho i rwie się serce.

Rojno też było i gwarno na wystawie; oglądano ją z prawdziwym zadowoleniem. Było przeszło sto sztuk pięknego bydła z najpierwszych obór krajowych, były maszyny i przybory rolnicze kilku fabryk krajowych, świadczące o postępie technologii rolniczej najnowszymi czasami. Ale pleć niewieścia najwięcej zwracała uwagi na wystawę ogrodniczą, a pawilony kwiatowe, wystawa roślin egzotycznych, otoczona stworzonymi na prędkę klombami i dywanami, złożonymi z kwiatów wazonowych, były głównym celem przechadzki i pochwał. W pawilonie p. Hillicha, ogrodnika tutejszego, oddające się głównie pielęgnowaniu krzewów egzotycznych, podziwianych szczególnie palmy, sagowce i róże niskopienne. Znajdował się szereg palm, pielęgnowany w przeciągu lat dziesięciu, tak, iż można było widzieć całe niejako dzieje staran p. Hillicha w tym kierunku, od czasu objęcia przezeń zakładu ogrodniczego podjętych. Były pomiędzy niemi gatunki bardzo rzadkie i osobliwe. Przyznane też za nie p. Hillichowi list pochwalny.

Drugi, również odznaczający się był pawilon kwiatowy, pani Wolińskiej, wdowy po jednym z pierwszych ogrodników tutejszych, która po śmierci męża prowadzi dalej zakład ogrodniczy. Tomer po mężu odziedziczonych tradycji. Pawilon jej na wystawie odznaczał się doбором pięknych kwiatów wazonowych. Pomiedzy innymi wyszczególniały się tutaj pełne begonie bulwowe, palmy i dwie wspaniałe *Curatellia imperialis*, za które otrzymała p. Wolińska także list pochwalny. Dziwna, że inni ogrodnicy tutejsi, używający powszechnej wziętości, usunęli się od wystawy, zaniedbując sposobność pokazania się z tem, co mają wobec licznego zjazdu obywatelstwa z prowincyi, co niezawodnie byłoby im przyspożyło nietylko rozgłosu w kraju, ale i na razie znaczne przyniosło korzyści, albowiem wiele kwiatów i roślin rozkupiono zaraz na miejscu na wystawie. Nie podobna przypuszczać, aby przy-

czyną tego zaniedbania było tak dalece posunięte niezrozumienie własnego interesu. Prawdopodobnie uznali, że nie zdołają wytrzymać spółzawodnictwa i usunęli się, nie chcąc dać się zaćmić p. Hillichowi i p. Wolińskiej, z któremi istotnie nie łatwo rywalizować.

Z nadchodzącą porą zimową odzyla znów sprawa założenia kasyna kobiecego, czyli, jak zwolenniczki tegoż nazywają *czytelni*. Chodzi o pomieszczenie tej czytelni, mającej być zbiorowem ogniskiem tutejszej inteligencji niewieściej. Ponieważ najem osobnego pomieszkania zbyt drogo w stosunku do funduszu grona zawiązującego czytelnię, kosztować by musiał, a nadto potrzeba by w takim razie mieć osobny statut i starać się dopiero o uzyskanie zatwierdzenia tegoż u rządu, przeto rozpoczęto ze Stowarzyszeniem „Pracy kobiet“, które posiada już w statucie swoim prawo utrzymywania czytelni, rokowania względem zlania się projektowanej czytelni z Pracą Kobiet. Miałoby to rzeczywiście dla stron obu pewne, niedające się lekceważyć korzyści. Wiadomo, że „Praca kobiet“, o której już niejednokrotnie na tem miejscu pisałem, nie może się podźwignąć: przeciwnie, upada, suchotniczy wiodąc żywot. Owóz zlanie się z gronem czytelni, liczącem już podobno sto kilkadziesiąt zwolenniczek opłacających po pięć guldenów składki rocznej, zasiliłoby znacznie „Pracę kobiet“ pod względem materalnym, i pozyskało dla niej szersze koło protekcyjne. Nadto biblioteka „Pracy kobiet“, posiadająca obecnie około czterystu tomów, powiększyłaby się znacznie zlanie z biblioteką „Czytelni“, liczącą już także przeszło dwieście tomów. Rzecz cała rozbija się dotychczas o szkółkę, utrzymywaną przez „Pracę kobiet“, mieszczącą się tam właśnie, gdzie miałyby być pomieszczone czytelnia z biblioteką. Dziewczęta do tej szkółki uczęszczają dwa razy na dzień, zrana i popołudniu. Zwolenniczki czytelni proponują więc, aby przenieść na rano godziny nauki popołudniowej, tak, iżby w temsamem pomieszkaniu rano była szkoła, popołudniu czytelnia. Zmiana ta byłaby nie tylko ze względu na czytelnię, ale także ze względów pedagogicznych i wychowawczych bardzo pożądaną; przeniesienie bowiem godzin nauki szkolnej na porę przedpołudniową, przyspożyłoby uczęszczającym do szkoły dziewczętom czasu, uwalniając je od odbywania cztery razy na dzień dalekiej nieraz z domu do szkoły i z powrotem przechadzki, zwłaszcza zimowemi wieczorami, po zimnie i śnieżycy. W niektórych szkołach publicznych żeńskich tutejszych wprowadzono już tę zmianę, a jeżeliby, jak slyszalem, ta głównie trudność przeszkadzała Stowarzyszeniu „Pracy kobiet“ do zjednoczenia się z „Czytelnią“, to nie należałoby się upierać przy zachowaniu tego, co samo przez się dobrze byłoby zmienić.

Inspektor tutejszych szkół ludowych prof. Boberski opuścił Lwów, zamianowany dyrektorem seminarium nauczycielskiego w Tarnopolu. Z odjazdem jego tracą wiele szkoły tutejsze, tembardziej, że nie wiedzieć kto będzie jego następcą. P. Boberski w ciągu swego krótkiego urzędowania we Lwowie, był bowiem Inspektorem szkół tutejszych zaledwie dwa lata, wprowadził wiele reform w metodzie nauki; jemu też należy zasługa werowania w życie szkoły żeńskiej wyższej, dopełniającej szkołę wydziałową, z planem organizacyjnym, uwzględniającym głównie praktyczne zajęcia i powołanie domowe kobiet. Grono nauczycielskie, męskie i żeńskie z prezydentem miasta na czele, zgromadziwszy się w dniu oznaczonym w wielkiej sali radnej w ratuszu, pożegnało ustępującego inspektora uroczystie i serdecznie.

Świat nasz artystyczny poniósł także stratę ze śmiercią Andrzeja Grabowskiego. Był to malarz utalentowany, i bardzo pracowity. Pojmował sztukę w rozległym znaczeniu, ze stanowiska umiejętnego, wydoskonalił do wysokiego stopnia technikę pendzla, i oddawszy się wyłącznie malarstwu portretowemu, pozostawił też wielką liczbę portretów, znanych publiczności z wystaw krajowych i zagranicznych. Grabowski jako malarz był realistą, starał się o jaknajdokładniejsze skopiowanie natury, w czem też daleko do-

DROBNE LISTKI.

prowadził; umiał przytem schwycić właściwy, typowy wyraz każdej fizioznomii, ten, powiedziałbym, zasadniczy ton leżący w głębi duszy i objawiający się pewną odrębnością od innych. Ztąd też każdy jego portret był w swoim rodzaju typem charakteryzującym nasze społeczeństwo, tak, iż razem zgromadzone, stworzyłyby one galeryę, przedstawiającą nasze społeczeństwo w jego najwybitniejszych postaciach. Sztukę pojmował, jako powołanie, jako cel życia i oddawał się jej z wielkim zamiłowaniem. Samouk, zaczerpnawszy początkowej nauki malarstwa w dawnej szkole krakowskiej, jeszcze za czasów Statlera, wszystko zresztą, wydoskonalenie się w rysunku, koloryt zastosoany umiejętnie do właściwości obrazu, słowem: całe wykształcenie artystyczne, winien był sam sobie, samostnej mozolnej pracy. Syn mieszczanina krakowskiego, poczuwszy młodzieńcem w sobie iskrę talentu i zamiłowania sztuki, bez protekcji i zasobów rzucił się w ten zawód, w którym ostatecznie zjednał sobie poważne stanowisko. Przed laty trzydziestu uczęszczając do szkoły krakowskiej, zawiązał ścisłą przyjaźń z Arturem Grotgerem i poetą Władysławem Tarnowskim. Wszyscy trzej posiadali iskrę poezji w duszy, i poczucie artystyczne podnoszące umysł w dziedzinie ideału. Spójność wyobrażeń i usposobień pociągnęła ich ku sobie, i uczyniła nierozłącznym gronem podczas kilkoletniego pobytu razem w Krakowie. Najulubieńszem ich studium była estetyka i dzieje kraju rodzinnego. Zimą poświęcali pracy, a latem podczas feryi z tłumoczkami na plecach wyruszali pieszo na dalekie wędrówki po kraju i za granicą. W tych wycieczkach wzbogacali swe teki malarskie, widokami okolic i typów miejscowych a wyobraźnią zasobem twórczego materyału; poznawali najpiękniejsze okolice kraju, i jego charakterystyczne własności, zwiedzali kolejno Karpaty, poznajając się wszędzie z życiem ludu, jego obyczajami i zwyczajami, Tyrol, góry alpejskie, Niemcy a zwłaszcza Bawaryę i Mnichów, jako świeżo ręką królewskiego mecenasa stworzone muzeum sztuki klasycznej. Niebawem odmienne losy rozdzieliły przyjaciół, wskazując każdemu inną drogę przeznaczeń; ale przyjaźń młodzieńcza pozostała niewygasła, wraz z pamięcią razem spędzonych lat młodości, i zawsze najmiłszą była im chwila, kiedy mogli się znów razem w dawnym obaczym gronie, ku czemu rzadko trafiała się sposobność. Żadnemu z nich nie było przeznaczonem doczekać późnego wieku i cieszyć się plonem prac swoich. Najgenialniejszy z nich, niedorównany dotąd w swoim rodzaju przez nikogo, Grotger umarł najwcześniej, w kwiecie młodości, złamany życiem i cierpieniem. Tarnowski, gnany żądzą podróżnika, zwiedzając kolejno wszystkie części świata, zginął, wracając z Australii na Oceanie Spokojnym, zdala od swoich i swego gniazda rodzinnego. Najdłużej brzemie życia i rozmaitych cierpień osobistych dźwigał Grabowski; od dwóch lat nie był już w stanie pracować. Trawiony suchotniczą gorączką bawił przez ten czas we Włoszech, napróżno szukając ulgi wycieczonym płucem. Niedawno wrocził do Lwowa, aby zniknąć nazawsze. W dziejach sztuki polskiej jako malarz portrecista zajął zaszczytne stanowisko.

(Dokończenie nastąpi).

— **Międzynarodowa wystawa** odbędzie się po raz pierwszy w Hiszpanii, pod opieką i kierunkiem rządu. Ambasadorowie hiszpańscy rozesłali odpowiednim urzędem krajów, przy których są akredytowani, kopie regulaminu wystawy, mającej się odbyć między Październikiem 1887 r., a Kwietniem 1888 r. w Barcelonie. Rząd Hiszpański zapewnia odpowiednią opiekę wynalazkom, oraz modelom i rysunkom, jak też i wszystkim okazom wogóle. Listy w interesie wystawy powinny być adressowane do Zarządu wystawy: „Junta Directiva” w Barcelonie, wgmacchu „Oficinas del Parque.”

— **Narodowa wystawa sztuk pięknych** zostanie otwartą w Wenecji w Kwietniu przyszłego roku pod protektoratem królowej Małgorzaty. Artysci zagraniczni, przebywający we Włoszech, mają prawo brać w niej udział, zatem i nasi. Znajdzie się tam niewątpliwie Siemiradzki.

— **Alma-Tadema**, malarz angielski, zajmujący najpierwsze stanowisko w malarstwie angielskim, maluje wielki obraz z naszych stosunków. Płótno znacznych rozmiarów, przedstawia liczne grupy młodych dziewic, zbiegłych ze zdobywanego miasta; towarzyszy im kilka kobiet sędziwych. Jest to chwila poranku; jedne dziewczęta jeszcze śpią, inne już się zbudziły i powstają. Jedna grupa matron zajęta jest przygotowaniem i podawaniem im śniadania, druga siedzi na wzgórek, jakgdyby czuwając nad snem dziewcząt. Ma to być historyczny moment zdobywania Pragi.

— **W Watykańskiej Galeryi Kandelabru**, którą obecny Papież kazał odświeżyć i uporządkować, powierzonem zostało niemieckiemu malarzowi, Seitz, wykonanie fresku, którego przedmiot odpowiada szczególniej czci, jaką Leon XIII żywi dla chrześcijańskiego filozofa, Ś-go Tomasza z Akwinu. Fresk, świeżo ukończony, przedstawia świętego podającego dzieła swoje poważnie pięknej, majestatycznej niewieście, siedzącej na tronie. W jednej ręce trzyma ona krzyż, godło zbawienia, w drugiej oliwną gałąź pokoju i jest to Wiara, wcielona w istotę Rzymskiego Kościoła. Obok Świętego stoi Aristoteles, którego filozofią polecał Papież młodzi chrześcijańskiej w swym głosnym, przed ośmiu laty napisanym liście: *Aeterni Patris*. Tron Wiary otaczają postacie allegoryczne.

— **Sławne skrzypce** Stradivariusa, zwane: „Śpiew Łabędzi”, których pochodzenie datują na rok 1737, zostały obecnie sprzedane w Paryżu za sumę 15,000 franków. Stradivarius, wykonując je, miał lat 43 i była to chwila, w której zdobył już całą swoją cudowną zdolność zaklania w drzewo ducha muzyki. Sprzedane skrzypce należały do zmarłego amatora i znawcy sztuki, Sainte-Senoche, który posiadał jeszcze trzy inne skrzypce Stradivariusa, i za te cztery sztuki zapłacił razem bajeczną sumę 60,000 franków. Sprzedawane obecnie przyniosły tylko 45,000 franków.

— **Polskie literackie stowarzyszenie**, istniejące w Londynie od 1832 r., a założone tam wtedy przez poetę bardzo szlachetnego natchnienia, Szkota rodem, Campbella, po raz pierwszy wybrało na członków kobiety. Znajduje się między niemi znana tłumaczka Mickiewicza, Biggs, oraz lady Burdett-Couts. Angielskie pisma donoszą, że pani ta została prezydentką stowarzyszenia, przecież w naszych dziennikach faktowi temu zaprzeczono. Lady Burdett, miała zasilić kasę stowarzyszenia znacznym datkiem.

— **Ludwik Michel** obdarzyła literaturę francuską świeżo napisaną powieścią: „Les Microbes Humains”, a która wykazuje, jak ludzkość pełną jest podłości i zbrodni popełniających się przez wieki wskutek praw, któremi się rządzi.

— **Paryż** oglądał w tych dniach niewidzianą dotąd w jego murach ceremonią chrztu, według obrządku budyjskiego. Odbył się on na dziecku Singaleskiem, urodzonym w paryzkim Ogrodzie Aklimatyzacyjnym, gdzie obecnie koczują pokolenie Cejlończyków. Rano dnia tego dwóch księży budyjskich przybyło dla pobłogosławienia dziecicy i dokonania jego horoskopu, który obiecał nowonarodzonemu chłopczykowi długie życie i liczne potomstwo. Po południu dziecko wyniesione przez ojca z chaty i położone na trawie, otoczyli wszyscy mężczyźni pokolenia. Na dany znak kobiety wyszły z chaty, niosąc relikwie i kwiaty. Śpiewały chórem i stanąwszy na miejscu, otoczyły dziecko kołem a podłożywszy mu pod główkę przyniesione świętości, osypały chłopiętko kwiatami. Wtedy podniósł się chór głosów męskich; wzywano nowonarodzonego do czynów męźnych, nakazywano mu siłę i odwagę, przyczem dano dwa imiona: obok imienia ojca, otrzymał drugie: „Paryż.” Pięćdziesiąt tysięcy Paryżan zgromadziło się dla przyjrzenia się uroczystości.

— **Wyspa Robinsona**, obecnie zwana Tristan d'Acunha, a licząca 93 mieszkańców, miała być zagrożoną wyludnieniem przez śmierć głodową i admirałicya angielska rozkazała okrętowi „Talia” aby najspieszniej jak można dowiózł nieszczęśliwym mieszkańcom wszystkie potrzebne do utrzymania życia ludzkiego przedmioty. Zabrano tego zapasy wielkie, oraz odzież i zwierzęta żywe; ksiądz anglikański, misjonarz Dodgson, zabrał się na pokład dla niesienia biednym pomocy, i okręt przybił do wyspy d. 4 Sierpnia, lecz rzecz okazała się nieprawdziwą. Żywność wyspy nie mogła dopuścić takiego stanu, tylko statki trudniące się połowem wielorybów, a przybijające zwykle do wyspy bardzo licznie i prowadzące z nią handel zamienny, nagle przestały przybywać, i ztąd mieszkańcy czuli od 3 miesięcy przykry brak kawy, herbaty, tytoniu, ryżu, maki i mydła. Następstwem to jest faktu, że połów wielorybów, nieludsko i bezrozumnie tępiących, już się w tamtych okolicach Oceanu nie opłaca i wielorybnicze statki posuwać się muszą dalej, w okolice, gdzie jeszcze mordercze gospodarstwo człowieka nie rozpostarło zniszczenia. Jest to niemiłej rzeczą niezaprzeczoną, że brak i zubożenie okazuje się na całej linii zamieszkałego świata.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem.** — Podaje do wiadomości, iż w poczet członków rzeczywistych Towarzystwa zapisali się: ks. Franciszek Ulanowski, ks. Jan Czok, ks. Józef Naóweczyński, ks. Andrzej Wojciechowski, ks. Maryan Chytrzyński, ks. Jan Sobczyński, Piotr Kostecki, Oskar Truskowski, Władysław Rudziński, Stanisław Jasiński, Teodor Grossglück, Władysław Małgorzewicz, Gerard Uziębło, Leopold Busz, Józef Kornecki, Franciszek Reinsztein.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont.

TREŚĆ. Pogawędka. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg) przez M. Gawalewicza. — Nowiny paryzkie, przez Sew. Duchiniąską. — Dawni i nowocześni, przez Pawła de St. Victor. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-ci powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Октября 1886 года.